

Jolanta Lipszyc



Szkola która ma istnieć sto lat powinna mieć sztandar. Jeden ze sponsorów ofiarował mnóstwo pieniędzy. Na sztandar wystarczy.

Ustaliliśmy dni obchodów dziesięciolecia LXIV Liceum Ogólnokształcącego im. Stanisława Ignacego Witkiewicza. 1-2 grudnia, ostatni wolny termin w 2000 roku. Pod koniec października było jasne, że sztandaru nie będzie. Nie było projektu, znane nam hafciarki, odpowiedziały, że nie zdążą w tak krótkim czasie przygotować nawet proporca. Witkacy cichutko się zaśmiewa. Wtedy po raz pierwszy padło pytanie- czy obchodzimy dziesięciolecie? Nie jest to znacząca rocznica, a dorobek szkoły pewnie bardzo duży jak na dziesięć lat, ale przecież znikomy w porównaniu z dorobkiem szkół pięćdziesięciu - czy stuletnich. Wtedy też padła odpowiedź- dziesięciolecie jest jedyną okazją, by kilku osobom podziękować publicznie za to, że podejmowali decyzje lub działania, które określiły kształt dzisiejszego LXIV LO i stworzyli przestrzeń, która jest dla nas - nauczycieli i uczniów najspokojniejszym, najbardziej kolorowym miejscem na Ziemi. To podziękowania - to także historia LO.

Najważniejszą osobą jest doktor **Danuta Nakoneczna**. W 1982 roku zafascynował mnie Jej stosunek do instytucji jaką jest szkoła. Rozwiązania zaproponowane przez Nią i realizowanie w LX Liceum Ogólnokształcącym w Warszawie, podjęte przez szkoły z Towarzystwa Szkół Twórczych są w roku 2000 normą. Nie znam żadnej inicjatywy szkół społecznych, prywatnych czy państwowych, która wcześniej nie była sprawdzona w jednej ze Szkół Twórczych i opisana przez dr Nakoneczną w książkach. Jestem dumna z tego, że program LXIV LO opiera się w dużej mierze na pomysłach Pani Doktor, i twierdzę, że te pomysły są podstawą sukcesu liceum.

O tym, że utworzę nowe liceum zdecydowałam 21 marca 1990 roku. Myślę, że nie byłoby możliwe rozpoczęcie nauki we wrześniu, gdyby nie ogromna życzliwość i wieloletnia późniejsza mądra opieka pani **Anny Zawiszy** z Kuratorium Oświaty w Warszawie.

Ostateczną decyzję o powołaniu LXIV LO wydał Kurator **Włodzimierz Paszyński**. W 1995 roku dostałam od Niego Czarownicę na Miotle z komentarzem, że tylko czary spowodowały że liceum zajęło pierwsze miejsce w warszawskim rankingu.

W 1990 roku szkołę przytuliła p. **Zofia Grzybowska**- dyrektorka Szkoły Podstawowej nr 77 na ul. Samogłoski, a w kolejnym roku – p. **Józef Dauksza**, dyrektor Internatu przy Ks. Janusza 45. Byli zawsze życzliwi i chętni do współpracy.

O tym, że LXIV LO będzie na Elbląskiej 51 zdecydowali Rodzice Uczniów Szkoły Podstawowej nr 159. Wśród nich byli p.p Strzelińscy i p. Małgorzata Orłowska, która potem zdecydowała się podjąć pracę w podstawówce jako nauczycielka języka polskiego i pedagog. W 2000 roku p. Orłowska została doradcą metodycznym pedagogów w Gminie Centrum.

Ważną rolę odegrała dyrektorka Szkoły Podstawowej nr 159 – p. **Jadwiga Pietraszczyk**, która pozostała w tej szkole jako nauczycielka muzyki i z ogromnym talentem, niezwykle pracowicie pomagała mi w jej prowadzeniu. A byłoby trudniej, gdybym nie miała wicedyrektorki d/s szkoły podstawowej p. **Ewy Deptuch**, z którą wiele lat temu rozpoczęłam pracę zawodową.

Od początku do dzisiaj pracuje ze mną w sześćdziesiątym czwartym czworo nauczycieli.

Moja przyjaciółka **Małgorzata Brudzińska**, najlepsza polonistka w Warszawie, wytłumaczyła mi, że trzeba powielać dobre wzorce – myślała o znakomitym w 1990 roku Liceum im. Górskiego – i razem pisałyśmy programy oraz wysiadały kuratorską i ministerialną kanapę. Potem Małgosia została wicedyrektorką i było nam i szkole dobrze. Zaprzyjaźniona ze mną **Zofia Kozłowska**, doradca metodyczny, poleciła mi, młodego historyka, który miał dość pracy w Archiwach Akt Nowych – **Roberta Szuchę**.

Już po rozpoczęciu roku szkolnego 1990/01 zgłosiła się p. **Barbara Andrzejewska**, która miała ochotę oprócz pracy naukowej i dydaktycznej w Akademii Wychowania Fizycznego uczyć w szkole średniej biologii.

Od 1990 roku jest też z nami p. **Nina Maciejak**. Na ul. Samogłoski w jednym dziesięciometrowym pokoju był sekretariat, gabinet dyrektora i pokój nauczycielski. Na Księcia Janusza siedziałyśmy z panią Niną biurko w biurko i kiedy przychodzili do mnie interesanci, Ona wybiegała do jednej z licznych w tym budynku hurtowni lub do pokoju nauczycielskiego.

To wyżej wymienieni określili charakter relacji między uczniami i nauczycielami, i poziom szkoły.

Lista nauczycieli najważniejszych jest długa. Rola każdego z uczących jest nie do przecenienia, każdy ma swoje miejsce i nie może być przez nikogo zastąpiony, dlatego wymienię tylko kilka nazwisk:

Daniel Zych, prowadził koło, a teraz lekcje języka polskiego, **Krzysztof Srebrny** – psycholog, **Jerzy Makowski** – profesor Uniwersytetu Warszawskiego, nauczyciel geografii od 1990 do 2000 roku, **Krzysztof Kruszewski**, nauczyciel matematyki, **Mariusz Zając**, kiedyś genialny uczeń, czternastoletni maturzysta, u nas nauczyciel matematyki, **Henryk Paprocki**, ksiądz, etyk, **Sławek Klefas** – nauczyciel wychowania fizycznego, który jest wszędzie tam gdzie trzeba coś zrobić i **Elżbieta Stanecka**, bibliotekarka, która jest zawsze, gdy jest potrzebna.

Wielu laureatów Olimpiady Języka Rosyjskiego przygotowała p. **Lidia Szaposznikow – Kropiwnicka**.

Nie było by wymian między narodowych, gdyby nie p. **Nora Wawrzyniak**, mama Weroniki i Bogny, i jej przyjaciele- **Dagnar Naegele**, **Helma Schwartz** i **Peter Kolbe** ze szkoły w Koloni nie podjęli współpracy z nami, a potem p. **Ewa Maniszewska**, dyrektorka Szkoły Polskiej w Berlinie nie umożliwiła nam kontaktu z **Heidi Antal** i **Karlem Baumgartem**. Te wymiany prowadzą świetni germaniści: **Grażyna Skrzypek – Bakota** i **Jan Wunsch**.

W 1990 roku poprzez dyrektora Krajowego Funduszu na Rzecz Dzieci, p. **Ryszarda Rakowskiego**, nawiązaliśmy kontakt z **Nikolajem Noskowem**, dyrektorem Szkoły Kosmonautyki w Krasnojarsku 45 i od tej pory trwa nasza przygoda z Syberią.

Trudno jest też wymienić wszystkich wspaniałych rodziców. Więc też tylko kilka nazwisk – **Kabulscy: Bohdan, Joanna i Roman** przez dziesięciolecie prowadzili zajęcia narciarskie na szkołach zimowych, remontowali sale szkolne, Joanna pomagała w dekoracjach. **Witold Błachowicz** przez wiele lat przewodniczył Komitetowi Rodzicielskiemu, **Robert Kuthan** – wspomagał szkolne zajęcia dydaktyczne, **Jerzy Dworecki** był najlepszym lekarzem na czterech szkołach zimowych.

W 1995, kiedy szkoła przygotowywała się do przyjęcia imienia Witkiewicza, poznałam witkacowców. Matką chrzestną została **Anna Micińska**, a ojcem **Maciej Witkiewicz**.

Nie wyobrażam sobie prawidłowego rozwoju szkoły w ostatnich latach bez pomocy Dyrektorów Dzielnicy Żoliborz, a zwłaszcza p. **Wojciecha Szyborskiego**.

Szczególny ukłon w stronę p. **Ludwiki Wujec**, obecnie Wiceburmistrza Gminy Centrum, która odegrała ogromną rolę, gdy władze tej gminy podejmowały decyzję o przejściu, wraz ze szkołą podstawową, liceum.

Od kilku lat naczelnikiem Wydziału Oświaty na Żoliborzu jest nieskończenie cierpliwy, życzliwy dla ludzi i wyrozumiały dla dyrektorów, więc także dla mnie, a przede wszystkim profesjonalny p. **Zbigniew Rogowski**.

Pan **Piotr Wachowiak** decyduje, jako Wicedyrektor ds. oświaty w Dzielnicy o standardach nauki w podległych gminie szkołach. Mam dla Niego mnóstwo ciepłych uczuć, bo od kilku lat, bez wynagrodzenia prowadzi w LXIV LO koło zainteresowań dla ekonomistów i wielu Jego wychowanków zostało finalistami lub laureatami Olimpiady Ekonomicznej.

Z dzisiejszych pracowników nie wyobrażam sobie szkoły bez p. **Zofii Radomskiej** – kierownika administracyjnego, rządzącej obsługą, **Krystyny Kłos** i pracowników kuchni, sekretarek – p. **Jolanty Stanisławskiej** i **Elżbiety Mołęckiej**, wicedyrektorek – **Hanny Kocerkowej** i **Beaty Zdanowicz – Garnuszek**. Już widać, że nie sposób wymienić wszystkich. Więc jeszcze raz podziękowania dla **Uczniów, ich Rodziców, Nauczycieli i Pracowników LXIV LO**. Ich listy są w informatorze. Bez tych ludzi szkoła nie byłaby taka, jaka jest. Obecność każdego była i jest ważna.

Jak powstało LXIV LO



Nasze liceum powstało dzięki staraniom dwóch nauczycielek – **Jolanty Lipszyc**, która do 1990r. była dyrektorką najlepszego warszawskiego liceum – LX LO im. **Wojciecha Górskiego**, oraz **Małgorzaty Brudzyńskiej**.

6 lipca 1990 r. Kurator Oświaty pan **Włodzimierz Paszyński** wydał pozwolenie na otwarcie liceum. LXIV LO formalnie istniało, choć nie było ani budynku, ani nauczycieli, ani uczniów! A jednak we wrześniu rozpoczęły się w szkole lekcje. Dwie dwudziestoosobowe klasy uczyły się w wydzielonych dla liceum dwóch salach Szkoły Podstawowej nr 77 przy ulicy Samogłoski. Pani dyrektor dostała jako gabinet mały pokój, który jednocześnie spełniał funkcję sekretariatu (w którym pracowała pani Nina Maciejak) oraz pokoju nauczycielskiego dla m.in. prof. **Roberta Szuchty**, prof. **Marka Sawickiego**, prof. **Jerzego Makowskiego**, prof. **Lidii Szaposznikow-Kropiwnickiej** oraz oczywiście prof. **Małgorzaty Brudzyńskiej**.

W następnym roku szkoła musiała zmienić lokalizację, ponieważ dla kolejnego rocznika uczniów nie było już sal na Samogłoski. Od września 1991 lekcje odbywały się w 4 salach, które tak naprawdę były czteroosobowymi pokojami w akademiku szkół budowlanych, przy ulicy Księcia Janusza. Rodzice uczniów 64 LO podjęli się odnowienia sal i toalet (szczególnie pomogli przy remoncie państwo Kabulscy). Rolę szatni spełniały szafy w ścianach, a pierwsze komputery sprowadzili państwo Galińscy z Holandii. W kwietniu 1991 r. LXIV znalazło swoją ostateczną siedzibę na ul. Elbląskiej 51.

A co było potem?

W 1991 roku uczniowie pierwszych klas wnieśli sporo ożywienia do atmosfery szkoły. Burzliwy rozwój nastąpił jednak dopiero w następnym roku. Prawie ośmiu kandydatów na jedno miejsce dało możliwość wyboru uczniów najbardziej zdolnych i ambitnych. Na przełomie lipca i sierpnia pierwsza grupa uczniów LXIV LO pojechał na Syberię do Krasnojarska, a kolejne w grudniu 1992. Uruchomiono została pracownia komputerowa, powstało czasopismo literacko naukowe „Arkana”. W tym czasie zaczęli pojawiać się pierwsi olimpijczycy, uczniowie podejmowali jednocześnie studia na wyższych uczelniach oraz zostawali stypendystami Krajowego Funduszu na Rzecz Dzieci. Coraz większej liczbie osób przyznawane były indywidualne toki nauczania. W 1992 r. szkoła zorganizowała obóz humanistyczny „Inicjacja jako motyw w kulturze”. Istniejący już wcześniej szkolny teatr „ETNA” zaczął odnosić wiele sukcesów artystycznych (m.in. wystawia sztukę „Portret kobiecy” nagrodzoną na Ogólnopolskim Przeglądzie Małych Form Teatralnych w Łodzi).

W kolejnym roku wychodziły nowe numery „Arkan” stojące na bardzo wysokim poziomie, liczne klasy wyjeżdżały na wycieczki, doszła do skutku wymiana z Niemcami. Zorganizowany został pierwszy Obóz Ekologiczny. Na uwagę zasługiwał też nowy wówczas fakt w dziejach szkoły – były w niej już pełne cztery roczniki, przygotowujące się do pierwszej matury (z LXIV L.O. wyszli pierwsi absolwenci). Wszyscy podjęli w przyszłości studia na wyższych uczelniach. Popularność szkoły wzrosła dzięki kolejnym sukcesom olimpijskim i dalszemu rozszerzeniu indywidualnego toku nauczania poszczególnych przedmiotów. Egzaminów wstępnych z 1994 roku mimo przesunięcia ich na czerwiec (w poprzednich dwu latach były one przeprowadzane w kwietniu) zgromadziły sporą, porównując z innymi liceami liczbę kandydatów. Po raz pierwszy szkoła dostała się do rankingu zajmując wysoką, jedenastą pozycję. Wystartował też program GLOBE (handel międzynarodowy) Będący z kolei częścią programu „Młodzi Przedsiębiorcy” i dzięki uprzejmości Fundacji Batorego oraz innych sponsorów czwórka uczniów z III klas pojechała na Florydę, gdzie zawarła bardzo korzystne kontrakty handlowe. Nawiązywanie nowych kontaktów z zagranicznymi szkołami od marca 1995r. ułatwił Internet. Kolejna klasa udała się na dziesięciodniową wymianę do Niemiec. LXIV liceum zorganizowało też drugą edycję Obozu Ekologicznego (85 uczestników), seminarium dla rusycystów „Rzeczywistość Rosyjska, kultura i język” oraz przegląd teatralny pod hasłem „Wielość światów, wielość rzeczywistości”. W roku szkolnym 94/95 liceum osiągnęło wyjątkowo wysoką liczbę finansów i laureatów olimpiad oraz innych różnorodnych konkursów. Wrzesień roku 1995 przyniósł szkole większe liczebnie pierwsze klasy i nowe nadzieje. Rozbudowany program nauczania WF-u zaczął przynosić efekty od października (oprócz normalnych zajęć wprowadzono możliwość wyboru dodatkowej dyscypliny sportu, takiej jak np. pływanie czy jazda konna). Kolejne dwie osoby wyjechały do Stanów Zjednoczonych, a następnymi kilkanaście uczestniczyło w wymianie ze szkołą w Kolonii. Pod koniec 1995 roku szkoła podpisała partnerskie umowy ze szkołami w Niemczech, Orlando na Florydzie i Krasnojarsku na Syberii. Planowano także nowe wymiany z młodzieżą niemiecką z Hamburga i z Izraelem.

Ukoronowaniem całej sześcioletniej działalności liceum przy ulicy Elbląskiej było zajęcie 1 miejsca w rankingu szkół warszawskich.

Od tego czasu szkoła nadal znajduje się w pierwszej dziesiątce na liście rankingowej liceów warszawskich i pierwszej piątce na ogólnopolskiej liście szkół olimpijskich. Przygotowywane są kolejne obozy i seminaria oraz wymiany zagraniczne. Organizacja szkoły, autorskie programy, wybitna kadra nauczycielska-to tylko niektóre z czynników powodujących ogromną popularność „Witkacego” (w czerwcu 2000 roku zdecydowało się przystąpić do egzaminu do naszej szkoły ponad 800 kandydatów).

W tym roku „Witkacy” ma już dziesięć lat i przyjął po raz ostatni ośmioklasistów uczących się w szkołach podstawowych według starego programu (sprzed wprowadzenia reform oświaty). Dopiero we wrześniu 2002 roku do LXIV L.O. wkroczą pierwsze klasy, składające się z absolwentów niedawno powołanych do życia gimnazjów. Do tego momentu „Witkacy” będzie się przygotowywał na ich przyjęcie. Pierwszym do tego krokiem jest zmodernizowanie budynku przy Elbląskiej. Dlatego w szkole rozpoczęto remont mający doprowadzić do powstania nowego piętra – na poddaszu, gdzie będą się mieściły pracownie językowe, komputerowa (podłączona do Internetu) i biologiczna oraz sala audiowizualna (o powierzchni 60 m²).

Wywiady z nauczycielami

Wywiad z panią Małgorzatą Brudzyńską

- Jakie były początki szkoły?

- Pani dyrektor **Lipszyc** postanowiła stworzyć szkołę i napisała w roku 1990 plan dydaktyczno-wychowawczy. Założenia były podobne jak w eksperymentalnym liceum nr 60. Obecnie szkoła ta nosi imię W. Górskiego, ale jeśli komuś z grona pedagogicznego „eksperymentu” powie się, że uczył w ‘Górskim’, to się obrazi. To są dwie zupełnie różne szkoły pod względem założeń i atmosfery. Obie (Pani Lipszyc i ja) musiałyśmy sporo biegać po urzędach, żeby uzyskać zgodę na wprowadzenia nowej szkoły. Uczniowie z pierwszego rocznika, to były osoby, które nie dostały się do „eksperymentalnej sześćdziesiątki”. Dwie klasy dwudziestoduosobowe. Ci uczniowie zaufali nam i był to z ich strony spory heroizm, bo wciąż nie było lokalu, w którym moglibyśmy się uczyć. Wtedy szkoła nr 77 na ulicy Samogłoski zgodziła się oddać nam do dyspozycji dwie klasy i jeden mały pokój, w którym mieściły się: gabinet dyrektor, sekretariat Pani Niny i biblioteka Pana Szuchty.

- A nauczyciele? Wszyscy uczyli wcześniej w sześćdziesiątce?

- Nie, nie, nie. Nie wszyscy byli z „eksperymentu”. Pani Kotańska, pracowała bardzo krótko, trzy miesiące. Zastąpiła ją Pani Andrzejewska, która uczy biologii do dzisiaj. Z „eksperymentu” była też Pani Lidia Kropiwnicka, nauczycielka rosyjskiego i nauczyciel chemii- Pan Sawicki. Jako zupełnie nowi nauczyciele pojawili się Pan Szuchta i Pan Makowski. Ja uczyłam języka polskiego, Pani Dyrektor- fizyki. Profesor Szuchta do dziś nazywa ten okres „heroicznym”.

- Wróćmy jeszcze do kwestii lokalu. Kiedy szkoła przeniosła się na Elbląską?

- To jeszcze nie wtedy. Po roku spędzonym przy podstawówce na ul. Samogłoski przenieśliśmy się na ul. Księcia Janusza, gdzie mieliśmy salę przy szkole budowlanej. Dopiero po trzecim roku działalności dostaliśmy budynek przy ul. Elbląskiej 51.

- A kto wymyślił, żeby patronem był Witkacy?

- Został patronem w wyniku ogólnego referendum, w którym brali udział uczniowie, ich rodzice i nauczyciele. Mieliśmy dziesięciu kandydatów. Odbyły się prezentacje sylwetek patronów. Było wielkie głosowanie, przypominające trochę amerykańskie wybory. W wyniku głosowania wyłoniły się dwie sylwetki: Witkacy i Kisielewski. Odbyła się ostateczna tura referendum z kabinami, kartami do głosowania... Po prostu prawdziwe wybory. I w ich efekcie zwyciężył Witkacy. Potem odbyło się wielkie święto nadania szkole imienia.

- A kto był Pani typem?

- Witkacy oczywiście.

- Czy zapamiętała Pani jakoś szczególnie niektórych uczniów? Jakież szczególne osobowości?

- Ależ wszyscy uczniowie są wyjątkowi i wybitni. Szkoła jest nowa i żaden z naszych uczniów światowej kariery jeszcze nie zrobił, tylko dlatego, że nie zdążył. Jest kilka osób robiących kariery polityczne i naukowe. Jeszcze nie dochowaliśmy się kogoś naprawdę wybitnego, ale jestem spokojna, że już niedługo; prędzej czy później o naszych wychowankach będzie się w świecie mówiło.

- A mogłaby Pani na koniec wywiadu powiedzieć, jak Pani widzi przyszłość tej szkoły?

- Dużo zależy od osób zaangażowanych w pracę szkoły. Szczególnie od dyrekcji. Linia pedagogiczna, linia wychowawcza- to są najważniejsze sprawy w szkole, i jest mi bardzo trudno przewidzieć co będzie dalej, gdy odejdzie to najstarsze pokolenie. Mam na myśli Panią Dyrektor Lipszyc, siebie i wszystkich nauczycieli z „okresu heroicznego”. Kocham tę szkołę i chciałabym, żeby się nie zmieniła, tylko rozwijała.

Wywiad z panią Barbarą Andrzejewską

- Jak to się stało, że pani uczy w tej szkole?

- Szkoła ta została założona we wrześniu. Przez pierwsze trzy miesiące biologii uczyła inna pani. Potem odeszła. Pewnego dnia znalazłam w „Gazecie Wyborczej” ogłoszenie o pracy w liceum. W wyznaczonym terminie zgłosiłam się do pani dyrektor Jolanty Lipszyc na rozmowę i od razu zostałam przyjęta do pracy.

- Jak pani wspomina początek szkoły?

- Niezwykle miło. Była to bardzo mała szkoła. Panowała w niej prawie rodzinne układy. W bursie przy ulicy Księcia Janusza ciężko było wynająć sale. Dwie klasy zostały zaadoptowane do pokoi, w których wcześniej mieszkały cztery osoby. Szczelnie wypełniły je szkolne ławki. Nie można tam było nikogo wywołać do odpowiedzi, ponieważ musiałby chodzić innym po głowach. Gabinet pani dyrektor też był niewielki. Rozmiarami sięgał zaledwie pokoju, który obecnie zajmuje pani dyrektor Beata Zdanowicz. Dodatkowo pełnił też funkcje sekretariatu i księgowości. Można tam było także czasem zjeść kanapki. Pod koniec roku przenieśliśmy się na Elbląską, gdzie już mieliśmy znacznie lepsze warunki.

- Jak pani teraz ocenia szkołę?

- Szkoła jest zawsze taka sama. Są tylko lepsze i gorsze roczniki.

- Dziękuję za wywiad.

Wywiad z panem Robertem Szuchtą

- Słyszałem, że szkoła była wcześniej w dwóch innych miejscach, jak pan wspomina tamte czasy, jakie panowały tam warunki?

- Szkoła mieściła się na ulicy Samogłoski 9 na Młocinach w budynku szkoły podstawowej. Przeznaczono nam trzy pomieszczenia, z czego dwa były salami lekcyjnymi. W trzecim znajdował się sekretariat, gabinet dyrektora, pokój nauczycielski oraz szkolna biblioteka. W latach 1991-1992 siedziba szkoły mieściła się przy ulicy Księcia Janusza w budynku internatu Technikum Budowlanego. Zajęcia odbywały się w dawnych pokojach mieszkalnych. W czasie kiedy funkcjonował internat w jednym takim pokoju mieściły się cztery łóżka, więc nie można było nawet wywołać kogokolwiek do odpowiedzi przy tablicy.

- Co wspomina pan najmilej?

- Wyjazdy – obozy integracyjne, szkoły zimowe i wycieczki, których na początku organizowaliśmy bardzo wiele.

- Jak wyglądały pierwsze szkoły zimowe?

- Pierwszą szkołą zimową odbyła się w Solinie w Bieszczadach. Mimo, że nie było wtedy zbyt wiele śniegu wyjazd był bardzo udany. Codziennie po obiedzie pływaliliśmy na basenie. Mogę się nawet pochwalić, że zająłem drugie miejsce w zawodach pływania na odległość pod wodą. W ciągu tego wyjazdu było bardzo dużo klasówek, uczniowie uczyli się nawet do 4-5 rano. Ale był też czas na relaks i odpoczynek. Pamiętam, że często graliśmy z uczniami w brydża. Przy stoliku najczęściej siedziała pani dyrektor Lipszyc, Kasia Wróblewska, Jarek Lipszyc i ja, czasami nasz instruktor narciarski pan Kabulski.

- A jak wyglądały pierwsze obozy integracyjne?

- Po raz pierwszy na obóz integracyjny pojechaliśmy do Leszna w Puszczy Kampinoskiej. Było fajnie, a rzeczą, która najbardziej zapadła w pamięć było to, że po ośrodku chodził koń, który cały czas jadł balustrady od balkonów w domkach campingowych. Na drugi wyjazd pojechaliśmy do Spychowa na Mazurach, trwał on cztery dni. Jechaliśmy wtedy całą noc, do ośrodka dotarliśmy na 5 rano, a dzień zaczęliśmy po południu. Ten wyjazd był naprawdę bardzo udany, pływaliliśmy tam na kajakach, chodziliśmy na grzyby i całą noc (do białego rana) spędziliśmy przy ognisku.

Wywiad z panem Markiem Sawickim

- Jak długo uczył Pan w naszej szkole?

– Od początku liceum do 1996 roku.

– Co zdecydowano o tym, że zaczął Pan uczyć w Witkacym?

– No cóż. Już wcześniej byłem związany z p. Lipszyc. Uczyłem w „Górskim”, gdzie była dyrektorem. Była to wówczas bardzo dobra szkoła. Sporo w tej szkole eksperymentowaliśmy i postanowiliśmy to ciągnąć, zakładając nową szkołę. Na początku jeszcze nie nazywała się ona Witkacy. W pierwszym istnienia do szkoły trafiali uczniowie, którzy byli pod kreską (nie dostali się do „Górskiego”). W kolejnych latach przeprowadzane były już egzaminy.

– A jak wspomina Pan teraz naszą szkołę?

– Bardzo mile, była tam wspaniała atmosfera. W swoją pracę włożyłem sporo serca i mam nadzieję, że też jestem dobrze wspominany.

– Co szczególnie mile Pan wspomina?

– Uczniów i to wszystkich – nie tylko tych, którzy byli dobrzy z chemii. Dlaczego? Bo wszyscy byli ciekawi i towarzyscy. Niektórzy byli umysłami ścisłymi. Inni pisali wiersze, a jeszcze inni działali społecznie. Każdy umiał wprowadzić coś nowego.

– Na pewno zetknął się Pan ze stwierdzeniem, że „Witkacy” to liceum wyjątkowe. Jak Pan sądzi, co stanowi o tej wyjątkowości?

– Znowu uczniowie. Z pewnością wyróżniają się na tle innych. Tacy uczniowie często zadają nauczycielowi trudne pytania i nie dają sobie wcisnąć kitu. Zmuszają tym nauczyciela do roboty. Właśnie to w nich lubię.

– Ciągłe mówimy o uczniach, a co z nauczycielami?

- Pamiętam ich bardzo dobrze, aczkolwiek nie miałem z nimi zbyt wielu kontaktów. Szczególnie miło wspominałem Roberta Szuchtę, z którym założyliśmy pismo „Arkana”. Nadal często do siebie pisujemy.

- Pewnie pamięta Pan, że w naszej szkole panuje system godzinnych lekcji bez dzwonek. Jak go pan ocenia?

– A więc nadal tak jest. To bardzo fajne, jest to znakomity pomysł. Teraz w pracy nie mogę się od tego odzwycząić.

– A gdzie Pan pracuje?

– Na wydziale chemii UW.

- Czy wyjeżdżał Pan na jakieś szkoły zimowe i obozy integracyjne?

- O tak i to wielokrotnie. Pamiętam obóz w Pomiechówku. A na szkoły zimowe jeździliśmy w góry, i w Sudety, i w Tatry. Według mnie najlepiej zorganizowane były pierwsze szkoły zimowe. Przejęto wtedy tradycję z „Górskiego”. Po śniadaniu była 1 lekcja, a po obiedzie 3. Wtedy można było zorganizować jakieś ciekawe formy zajęć (np. w grupach). Na lekcji po śniadaniu często był sprawdzian, co sprawiało, że uczniowie mieli wieczorem coś do roboty. Jednak nie tylko się uczyli. Wieczory były zajęte twórczo. Uczniowie składali piosenki czy też robili plakaty. Szkoły zimowe kończyły się jakimiś przedstawieniami artystycznymi. Wymagały one dwutygodniowego przygotowania. O ile pamiętam później z tego zrezygnowano. Zrezygnowano również z lekcji po śniadaniu, dlatego po kolacji uczniowie robili co chcieli. Po szkołach zimowych jednak w szkole było już znacznie luźniej z nauką. Było mniej zajęć, gdyż organizowano różne obozy. W „Witkacym” ten twórczy bałagan nie przeszkadzał jednak zdolnym.

- Co w szkole utkwilo panu szczególnie w pamięć?

- Pamiętam jak w „Witkacym” organizowane było seminarium humanistyczne. Z tej okazji na Sali gimnastycznej z inicjatywy pana Szuchty i pani Robakiewicz zrobiono z kartonu olbrzymi labirynt, który miał swoją symbolikę. Były z nim związane różne topozy w kulturze. Pamiętam także, jak dziewczyny wystawiły spektakl „Portret kobiety”. Wyróżniono w nim różne charaktery kobiet. Dziewczyny zrobiły to tak genialnie, że wielokrotnie proszono je o bis i w końcu pojechały na festiwal w Łodzi i zajęły w nim bodajże II miejsce. Był to wielki sukces pani Robakiewicz, która przygotowała je do tego występu.

- Pomówmy teraz trochę więcej o sprawach związanych z chemią. Jak pan ocenia laboratorium szkoły?

- No cóż, mogę powiedzieć nieskromnie, że to ja wyposażylem całą pracownię. Sprowadziłem furgonetkę ze sprzętem, skombinowałem mnóstwo odczynników, które sprawdziłem własnymi rękami. Zainstalowałem też w pracowni półki. W szafach nadal jest dużo moich osobistych rzeczy. Boleję nad tym, że nadal wiele jest nieużywanych i leży w skrzyniach. Mogłaby szkoła przeznaczyć trochę pieniędzy na zainstalowanie wyciągu.

- Czy prowadził pan jakieś ITN-y albo kółka?

- Prowadziłem wiele dodatkowych zajęć. W ogóle uczyłem chemii wszystkie klasy. Prowadziłem kółko religioznawcze, przez 4 lata- kółko z ekonomii stosowanej, kółko medyczne oraz chemiczne- przygotowujące do olimpiady. Paru uczniów brało udział w olimpiadzie i konkursie chemicznym. W konkursie mieliśmy nawet dwóch laureatów. Oprócz tego pracowałem w ośrodku promocji talentów. W szkole często służyłem za „półsekretarkę”, a to dlatego, że znając się na komputerze musiałem pisać wiele pism. Byłem też doradcą metodykiem z chemii, to znaczy prowadziłem wykłady dla nauczycieli. Jeśli chodzi o ITN-y to prowadziłem ich kilka, również nieoficjalnie. Starłem się na nich nauczać chemii przez historię nauki i różne poglądy filozoficzne.

- Czy pamięta pan jakąś szczególnie śmieszną scenkę z lekcji chemii?

- Tak, nawet dwie. Raz w ramach wymiany z Florydą przyszli do nas Amerykanie i chcieli zobaczyć jak wygląda w Polsce lekcja chemii. My oczywiście przygotowaliśmy mały pokaz. Nie był to zwyczajny pokaz, gdyż było sporo wybuchów. Uczniom z Ameryki bardzo się spodobało, jednak nauczyciele byli tak przerażeni, że chcieli uciec z Sali.

Drugą taką scenką, a właściwie ogromną sceną (epizodem) było kręcenie w „Witkacym” w 1996 filmu „Sposób na Alcybiadesa”. Dla celów filmu przygotowałem pokazy pirotechniczne i z tego również wynikło wiele zabawnych scen.

- Ostatnie pytanie. Czy wybiera się pan na uroczystość dziesięciolecia?

- Kilka dni temu Robert Szucha za e-mailował

Do mnie, że takowe się odbywają. Jeżeli tylko znajdę czas, postaram się przyjść.

- Dziękuję bardzo za rozmowę.

- Również bardzo dziękuję.

Wywiad z panią Kariną Jankowską

- Dlaczego zdecydowała się pani zdawać egzaminy właśnie do tej szkoły?

- To nie było tak. Nie zdawałam do tej szkoły. Zdawałam do Liceum Ogólnokształcącego im. Górskiego. To było wtedy takie eksperymentalne liceum jak dziś „Witkacy”. Egzaminy zdałam, ale zabrakło mi punktów i nie zostałam przyjęta. Niedługo potem zadzwoniono do mojej mamy i poinformowano ją, że zostanie otwarte nowe liceum zorganizowane na wzór Górskiego. Zaproponowano mi przyjęcie do tej szkoły. Nie musiałam już zdawać egzaminów, więc się zgodziłam.

- Na czym polega specyfikacja tej szkoły? Co najbardziej się pani podobało?

- Bardzo miło wspominam atmosferę szkoły. Miałam bardzo zgrana klasę. W drugim roku szkoła przeniosła się do akademika przy ulicy ks. Janusza. Dostaliśmy tam kilka salek. Trzeba było to wszystko odremontować. Robiliśmy do my. Lekcje uciekały, a my się świetnie bawiliśmy. Gdy później mieliśmy lekcję- odbywały się one na podłodze, dzięki czemu łatwo się ściągało. To wszystko bardzo nas do siebie zbliżyło. Poza tym bardzo fajne były zimowe szkoły. Teraz takie wyjazdy to nic nadzwyczajnego. Prawie każda szkoła organizuje podobne wycieczki. Wtedy to było jednak coś wyjątkowego i charakterystycznego tylko dla tej szkoły.

- Wspomniała pani, że w drugim roku szkoła przeniosła się do akademika na ulicy Księcia Janusza. Gdzie znajdowała się zatem w pierwszym roku swojego istnienia?

- W ciągu czterech lat mojej nauki szkoła znajdowała się w trzech różnych miejscach. Najpierw uczyliśmy się w zwykłej podstawówce na ulicy Samogłoski. Dostaliśmy tam dwie sale. Warunki były dość ciężkie, ale było miło. W drugim roku przenieśliśmy się do wspomnianego akademika. To miejsce wspominam najlepiej. Włożyliśmy tam sporo pracy- zrobiliśmy remont. A w trzecim roku szkoła znalazła miejsce w murowanym budynku przy ulicy Elbląskiej. Tu znajduje się do dziś.

- Jakich nauczycieli wspomina pani najlepiej? Czy byli jacyś specyficzni profesorowie?

- Dobrze pamiętam lekcje WF- u u prof. Klefasa. Kazał nam skakać przez kozła. Bardzo się tego bałyśmy. Przy skoku jedna z moich koleżanek - Lidka złamała rękę. Całe wakacje chodziła w gipsie. Potem nie musiałyśmy już wykonywać takich głupich ćwiczeń. W tym okresie prof. Klefas był w trakcie pisania pracy magisterskiej. Pisał coś na temat zdrowego odżywiania. Rozdawał nam różne ankiety, a my myśląc, że to poprawi nam ocenę, pisałyśmy co jadłyśmy na śniadanie itp. Miło też wspominam prof. Kruszewskiego. Nie byłam zbyt dobra z matmy, ciągle musiałam coś u Niego poprawiać. Jeśli chodzi o prof. Kropiwnicką, była bardzo wymagająca, ale też sprawiedliwa. Jasno określała swoje wymagania. Dziś dużo mówicie o prof. Sułku. Wtedy nie krążyły, jednak żadne legendy na Jego temat. Musiał być mniej wymagający...

- Czy utrzymuje pani kontakt z kolegami z klasy?

- Tak. Z koleżankami.

- A jak się pani czuje, ucząc dziś w tej szkole?

- To ciekawe doświadczenie.

- Dziękuję za informacje.

- Proszę bardzo.